Nr. 22 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | **We Lwowie, 16 listopada 1930** **Rok 52**

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Nr. 22 We Lwowie, 16 listopada 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ODEZWA

Do korespondentów, czytelników i sympatyków naszych zwracamy się z gorącą prośbą o czynną współpracę z nami.

Prosimy Ich, by chcieli się dzielić z naszą Bracią Myśliwską za pośrednictwem „Łowca“ swojemi wrażeniami łowieckiemi i wspomnieniami z łowów, by przysyłali nam też artykuły, czy to z dziedziny przeżyć łowieckich, czy też fachowe, z dziedziny przyrody, broni, historji łowieckiej i t. p.

Wobec ogólnie ciężkiej sytuacji gospodarczej, która się i na kasie M. T. Ł. odbija, prosimy wypróbowanych przyjaciół-korespondentów naszych, by zechcieli pisywać dla „Łowca“ n i e k i e d y, za zrzeczeniem się honorarjów autorskich i by tym sposobem pomóc nam chcieli do przetrwania ciężkich chwil obecnych. Prosimy wreszcie o przysyłanie nam zdjęć natury łowieckiej, i to możliwie w najbliższym czasie, celem umieszczenia ich w ozdobniejszym numerze, który zamierzamy wydać w połowie grudnia b. r.

Redakcja.

W sprawie ochrony jelenia w Karpatach

Dyskusja w sprawie łowów na jelenia karpackiego nie ustaje, więc i mnie niech wolno będzie dorzucić słów kilka.

Wszyscy biorący udział w dyskusji, dążymy niezawodnie do wspólnego celu ochrony tego wspaniałego zwierza w Karpatach, a tylko co do sposobu polowania na niego nie zgadzamy się.

Doświadczenie obejmujące blisko 50 lat gospodarki łowieckiej w Karpatach dowodzi, że stan jeleni w Karpatach, pomimo polowania na nie prawie wyłącznie podczas rykowiska, dochodził zawsze do największego rozkwitu dzięki łagodnym zimom i opiece personelu łowieckiego, a więc karmieniu zwierzyny i tępieniu wilków. Nagrodą hodowcy był wątpliwy odstrzał jelenia kapitalnego na rykowisku, odstrzał niezmiernie niepewny, bo nic trudniejszego jak spotkanie z tak ostrożnym zwierzem jak stary jeleń, pilnowany przez kilka ostrożnych łań, rozstawionych dokoła niego i rzadko porykujący, choćby z obawy przed wilkami.

Polując przeszło 20 lat w najlepszych rewirach karpackich na rykowisku, miałem tylko pięć spotkań z jeleniami kapitalnemi, z tych jedno przypadkowe, gdyż jeleń całkiem nie rycząc przyszedł niespodzianie do miejsca mojego spoczynku w godzinach południowych. Do-

wodzi to, jak rzadko może przyjść do strzału na rykowisku myśliwy wybredny.

Strzelać do jelenia kapitalnego w innym czasie jak podczas rykowiska może tylko myśliwy mieszkający stale w rewirze (np. p. Dr. Burzyński), albo myśliwy mogący przebywać w rewirze bardzo długo, dłużej niż na to pozwala czas ochrony jelenia. Jeżeli zatem stałoby się to, do czego dążą przeciwnicy odstrzału jelenia na rykowisku w Karpatach, wówczas najlepsi hodowcy jeleni musieliby się wyrzec swoich ukochanych rewirów górskich, bo chyba nie znajdzie się myśliwy, którvby chciał i mógł ponosić tak wielkie ofiary pieniężne dla polowania, którego wykonywać nie może. I stałoby się to, że rewiry w Karpatach, opuszczone przez hodowców myśliwych i ich personel, stałyby się pastwą kłusowników i wilków.

Z największą stanowczością zatem oświadczam się za zatrzymaniem odstrzału jeleni w Karpatach na rykowisku, lecz równocześnie uznaję konieczność normowania odstrzału odpowiedniemi przepisami i oddawania rewirów tylko takim hodowcom myśliwym, którzy na podstawie orzeczenia Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego zasługują na to.

Dyskusja w sprawie ochrony jelenia w Karpatach zwraca uwagę na inną sprawę, którą nasze ustawodawstwo łowieckie tak nieszczęśliwie rozstrzygnęło. Mam na myśli bezwzględny zakaz odstrzału kozic w Tatrach, który jest największą przeszkodą ich rozmnoży, bo właściciel rewiru, nie mogąc na kozice polować, nie utrzymuje personelu łowieckiego, a kłusownik tem bezpieczniej kozice tępi. Zwracam się zatem do tych myśliwych, którzy tyle zapału okazali w sprawie zwalczania odstrzału jeleni na rykowisku w Karpatach z apelem i prośbą, by równie gorąco stanęli w obronie kozic w Tatrach i pomogli do usunięcia tak szkodliwego bezwzględnego zakazu odstrzału tychże.

Adam Sołowij

Końcowe zdanie ostatniego artykułu p. Dra Burzyńskiego o powyższym tytule, zmusza mnie do zabrania raz jeszcze głosu. Temat uważam za wyczerpany i zdaje się tego samego zdania jest p. Dr. Burzyński, gdyż w swych ostatnich artykułach ani jednem słowem nie pokusił się o zbicie naszych rzeczowych argumentów; natomiast w niezmiernie zawiłych zdaniach zajmuje się nie jeleniem — a jego obrońcami, którzy dotychczas głos w tej sprawie zajęli i pobudkami, które ich do tego skłoniły.

P. Dr. Burzyński twierdzi, że w polemice tej nie powinno być miejsca na osobiste animozje i docinki, a tymczasem artykuły Jego pełne są właśnie tych docinków i co więcej — wręcz zarzutów, jak naprzykład ten, że wybitni nasi myśliwi nie rzucają nic na poparcie swych tez, prócz swej reputacji nieposzlakowanych łowców. A przecież artykuły broniące jelenie przed bezwiednie gotującą im zagładę tezą p. Dra Burzyńskiego, były pełne tylko rzeczowych argumentów; nikt w nich nie dociekał pobudek, z jakich teza ta wypływała i tylko w ten sposób prowadzona polemika może być utrzymana na wysokości powagi przedmiotu.

Tyle w odpowiedzi p. Dr. Burzyńskiemu. A będąc przekonany o szczerości Jego apelu, mam nadzieję, iż przyzną mi rację.

W przedostatnim „Łowcu" ukazał się też artykuł p. Biberstein-Błońskiego. W artykule tym, niezmiernie sympatycznym i tchnącym duchem lepszych czasów, p. Błoński niestety nie stara się odpowiedzieć nam argumentami, nie powiada dlaczego jest za wywodami p. Dra Burzyńskiego. Na jedyny argument, że jelenia nie należy niepokoić w czasie popędu płciowego, jest łatwa odpowiedź: jeśli go najłatwiej wtedy zabić, toć najtrudniej zaniepokoić.

P. Błoński przytacza zdanie hr. Palffy'ego, ale szkoda, że nie opowiada nam, jak ten bezsprzecznie doskonały myśliwy i hodowca — polował na jelenie. Czyż jeśli polował na rykowisku był też „myśliwym-strzelaczem"?? A właśnie w ostatnich numerach tygodnika niemieckiego „Wild u. Hund" ukazały się ciekawe wspomnienia hr. Palffy'ego z rykowisk w Karpatach w latach 1899-1905.

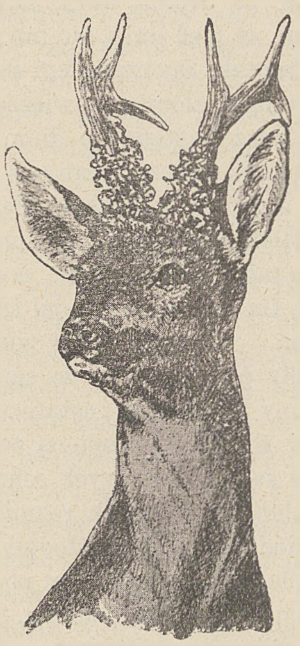
Czytając dalej wywody p. Błońskiego, odnosi się wrażenie, iż mowa tu o jeleniu nizinnym, jeleń bowiem wysokogórski nie spaceruje po rewirze i dalsze wędrówki odbywa tylko w czasie rykowiska i tylko wtedy można go spotkać w miejscach o kilometry oddalonych od stałej ostoi; w ostrężynach nie leży nigdy, na owsy nie wychodzi, gdyż tych w górach prawie niema, wreszcie tryb jego życia bardzo się różni od trybu życia rogacza.

W swym ustępie o kłusownikach o jednem zapmina p. Błoński. Wprawdzie nie w noc czarną dosięga kłusownik jelenia kulą czy lotkami, lecz prawie zawsze o ciemnym zmroku, w którym wykluczone jest nietylko poznać wielkość wieńca ale i płeć odróżnić, ta jednak takiemu strzelcowi jest obojętna. Jeśli już o kłusownikach mowa, to zacytuję tu sposób, w jaki najczęściej polują. Otóż polują najchętniej w czterech; gdy noc jeszcze ciemna, rozchodzą się i gdy świtać zaczyna z czterech stron podchodzą upatrzonym terenem, którym jest zwykle duży zrąb. Każdy z nich stara się zwierza podejść z tem jednak, że jeśli się nie uda, zwierz spłoszony wyjdzie na któregoś z towarzyszy, jeśli się weźmie pod uwagę, że sposób ten wykonują ludzie w tych górach urodzeni, z temi górami zrośli, dla których nie istnieje przeszkoda w terenie, którąby bez szelestu nie wzięli lub ominęli — to rzeczywiście wydawałoby się, że zagłada jelenia nastąpić musi. A przecież na szczęście tak nie jest, znalazły się środki przeciwdziałające. Piecza, z jaką coraz intenzywniej dzierżawcy rewirów otaczają swój zwierzostan, wydaje owoce. Przy pomocy coraz więcej rozumiejącej i ten swój obowiązek policji państwowej, ograniczono kłusownictwo do minimum i jeleni z każdym rokiem przybywa tak w ilości jak i w jakości.

Kończąc, chciałbym zapytać się Szan. Panów Oponentów w jakim celu tak uparcie narzucić nam chcą swą tezę? Bo gdyby nawet myśliwi polujący i mogący je-

szcze polować na rykowisku dali wmówić w siebie, że postępują nieestetycznie, gdyby skutkiem tego zakazano polowania podczas rui, to przecie pewnikiem nieodpartym jest, że ogromna większość dzierżawców opuściłaby swe rewiry górskie. I co dalej? To tak „cenione“ mięso jelenia dzieliliby między siebie kłusownik i wilk. Państwo straciłoby znaczne dochody płynące z dzierżaw, a jeleń podziękowałby Szan. Panom za zgotowaną mu „etycznie“ zagładę.

Józef Jabłonowski



Żbiki w Lubieniu Wielkim

W połowie września z. r., w jednej z najdzikszych partyj lasu, poleciłem gajowemu przy pomocy dwóch robotników kopać borsuka, który tu od szeregu lat miał stałą swą siedzibę i spokojnie się rozmnażał. Jamnik, cięty, który mi towarzyszył, głosił w jamie, wskazując, którędy pracę kierować należy. Robota szła wolno, gleba była bowiem twarda, a korytarze podziemne ciągnęły się w kilku różnych kierunkach i sięgały do 12 m. długości od otworu wejściowego, zaś w głąb 2½ m. Ostatecznie po 4-godzinnej pracy — w którym to czasie jamnik parę razy wydobywał się wyczerpany walką i znacznie pocięty, udało się nam pozornie przeciąć właściwy kurytarz i osaczyć rzekomego borsuka w końcowej komorze tak, że nie było wątpliwości, iż praca nasza rychło i pomyślnie zakończoną będzie. Dziwiło mnie jednak zachowanie się jamnika, który bardzo agresywny, zawsze pozostawał w jamie bez przerwy, atakując zawzięcie najtęższego borsuka czy lisa i podczas kopania nie dał się niczem wywabić, — tym razem nie dotrzymywał pola, często w jamie skomlił i parę razy wycofywał się. Raz jeszcze poszczuliśmy pieska i wpuściliśmy go do jamy dla orjentacji, w którym kierunku należy kontynuować pracę, przecięty bowiem kurytarz wskazywał rozwidlenie — a nie chcieliśmy — wobec zbliżającego się zmroku, opóźniać pracy. Pies pomknął natychmiast i ostro zaczął ujadać, czuł bowiem tuż za sobą pomoc naszą, lecz i atakowany zwierz nie próżnował — wnet posłyszeliśmy rzężenie i ciche skomlenie jamnika, które trwało może pół minuty, nie dalej jak 2 m od nas — poczem nastąpiła zupełna cisza. Poleciłem jak najspieszniej kopać i sam w pracy pomagałem, miałem bowiem wrażenie, że jamnik zagryziony, szło więc o natychmiastowy ratunek.

W niespełna 20 minut gorączkowej, forsownej pracy, dotarliśmy do owej komory, skąd też wysunął się ledwo żyjący nasz jamnik, cały na łbie zmasakrowany, ledwo trzymający się na nogach, lecz jego przeciwnika tu nie było; widocznie zakopał się, albo przebił do innego kurytarza, wobec czego byliśmy bezradni, pies bowiem w takim stanie, przynajmniej w tej chwili — nie mógł nam służyć pomocą, bez której dalsze poszukiwania byłyby bezowocne.

Na wszelki wypadek kazałem pozatykać wszelkie wejścia do jamy, psa ułożyłem na mchu i zmyłem mu krwawiące rany, a że robiło się ciemno, poleciłem zapalić ognisko, by ewentualnie przy świetle kontynuować pracę. Blask wesoło buchającego ognia rozprószył mroki nadchodzącej nocy, usiedliśmy dla wypoczynku, niezdecydowani, czy kopać dalej, czy posłać po żelazko, któreby można przy jednem wejściu do jamy zastawić; na decyzję wpłynął nasz dzielny jamnik, który wodą orzeźwiony i ciepłem płonącego ognia rozegrzany — choć kulał — rwał się znowu do jamy. Puściłem go, oba główne wejścia obsadziłem — i gotów do strzału oczekiwałem dalszych wydarzeń.

Nie słyszeliśmy ujadania, najwidoczniej pies szukał straconego tropu, wszyscy w spokoju zupełnym nadsłuchiwaliśmy — aż — zupełnie niespodzianie, tuż przy ognisku, gdzie stał właśnie jeden z robotników i ogień podsycał — coś dużego wyskoczyło z niepozornej, opuszczonej jamy i wśród głośnego szelestu zeschłych liści znikło w cieniach nocy.

Zdołałem jedynie na moment ujrzeć sylwetkę dużą, większą od lisa lecz z mniejszą znacznie kitą; strzelić nie mogłem, bo między mną a uciekinierem stał przerażony robotnik, któremu z pod nóg wyskoczył — niewątpliwie żbik. Ale skądby się tu ten drapieżnik wziął? Wszak od kilkunastu lat nie wspominano w tutejszych kronikach myśliwskich o tego rodzaju zwierzu; robotnik jednak oświadczył, że widział w blasku ognia olbrzymi łeb, jak u kota i gruby ogon z czarnemi pierścieniami, na grzbiecie czarne pręgi. A więc albo zdziczały kot, albo sam żbik! Pod silnem wrażeniem tego nadspodziewanego spotkania, zakończyliśmy dzisiejszą zmarnowaną pracę i po zarównaniu wykopanych dołów i ugaszeniu ogniska, przedzieraliśmy się wśród gęstych drzew do domu, żywo komentując wydarzenie dnia tego.

Prace jesienne w lesie nie pozwoliły mi na poszukiwanie żbika, poleciłem tylko gajowym bacznie śledzić o świcie w rejonach jam borsuczych i lisich i natychmiast donosić mi o interesujących spostrzeżeniach.

Gajowi żbika nie spotykali, tu i ówdzie jednak były widoczne resztki zajęcze i turzyca, świadczące o wyciecz-

kach drapieżnika. Dopiero z końcem października, pewien starszy robotnik leśny doniósł mi, że jemu w lesie zagrodził drogę jakiś okropny zwierz „basamasty", cały pręgowany, który gniewnie mruczał i nie chciał temu robotnikowi usunąć się z drogi — tak, że ów robotnik w wielkim strachu musiał zejść w bok z drogi, by nie być atakowanym przez zwierza.

Wobec „oblanych" dzików, które na zasiadkach z powodzeniem strzelałem, nie interesowałem się żbikiem, nie wiedziałem bowiem kiedy i gdzie na niego zasiąść. Raz jednak, idąc na dzika, przechodziłem w pobliżu jamy borsuczej w innej części lasu. Gdy byłem na 30 kroków od jamy (a zwykle chodzę po lesie wolno, bezszelestnie, zawsze ostro badając teren), stanąłem nagle za drzewem, zauważyłem bowiem tuż przy jamie jakiś szary przedmiot, który zdawał się być raczej kawałkiem wystającego z ziemi drewna — niźli żywą istotą. Była godzina 18-ta, już kładł się mrok, nie mogłem rozeznać wcale owego przedmiotu tembardziej, że otoczenie tej jamy składało się z gęstych traw i leżących suchych gałęzi. Stałem jednak niepewny, nawet wolno złożyłem się, ale jak strzelać, jak się nie jest pewnym celu? Wziąłem przeto na ramię broń i przy tym mym ruchu przedmiot ów nagle zapadł się w jamę. Nic — tylko ów zagadkowy żbik, pustoszący zające, ukrywający się raz w tej, drugi raz w innej jamie borsuczej.

Że jednak żbik trzymał się jednego oddziału lasu, gdzie najliczniejsze były jamy borsucze, nie trudno mi było z wyborem zasiadki na niego; zostawiłem też dziki w spokoju, tembardziej, że już na polach nie żerowały i parę wieczorów poświęciłem żbikowi. Niestety — bez najmniejszego rezultatu, zasiadałem wieczorami, które były chmurne i ciemne i albo żbik musiał opuszczać jamę przed mem przybyciem, albo wychodził z jamy zbyt późno — już po zejściu mem ze stanowiska — dość, że zwierz jamę odwiedzał, ale nie dał się podejść. Zniechęcony, widząc że na czarnej stopie nic nie wskóram, zostawiłem żbika w spokoju, przenosząc się na inne tereny łowieckie, gdzie były pewne i dziki i lisy.

Aż gdy z początkiem grudnia — straciłem 8 kilowego indyka z kurnika — zabrałem się stanowczo do żbika, którego wyłącznie o tę robotę posądziłem. Bo i jakiż inny drapieżnik mógł tego dokonać, by udusiwszy w kurniku tuczonego indyka, wywindować go po drabinie 3 m. wysoko na strych stajni? Wprawdzie zaraz rano z pieskiem za wyraźnym tropem buszowaliśmy po strychu wśród siana, żbika nie widzieliśmy, lecz pies zaaportował część indyka, której biesiadnik nie był w stanie spożyć. Zrazu założyłem 2 razy z rzędu żelazko u wejścia przez okienko na strych, lecz żelazko było spuszczone każdorazowo, a jedynie parę podbrzusznych popielatych włosów świadczyło, że zwierz się wymknął i potem wcale tu nie zaglądał. Ale wieś się ożywiła: codzień parę kur przepadało, raz temu — to znów innemu kmiotkowi. Skargi, narzekania i straszne groźby nie miały końca, a sprytniejsi, znający sztukę łowienia zwierza w żelazka, cieszyli się, jak to im się uda uchwycić żbika, który w ich pojęciu doszedł rozmiarów tygrysa i wartości najmniej 100 dolarów! I kto miał jakiekolwiek łapki, skrzynki na szczury, łasice, żelazka stare pordzewiałe — już je lokował przy kurnikach i stodołach w nadziei wielkiej zdobyczy. Naturalnie — nie obeszło się tu bez tragikomicznego wypadku. Oto jeden z włościan, zamożny, a jeszcze więcej chciwy gospodarz, usilnie starał się przychwycić żbika; jawił się raz u mnie z prośbą, bym mu sporządził jaką dobrą trutkę, bo żbik co noc jest u niego i spokojnie ściąga ze skrzynki - zapadki słoninkę i bezkarnie uchodzi, zabierając po drodze kury. „Zjadł mi już pół kilo słoniny i 6 kur za pięć dni i nic mu nie poradzi" — lamentował ów kmiotek. Sporządziłem pigułkę strychninową i wetknąłem ją w słoninę, zawieszoną przy zapadce na przynętę. Zaraz następnego dnia o godz. 5 rano przybiegł mój kmiotek rozczarowany — żbik zjadł słoninę i jakoś nie struł się — zabrał się zdrów do lasu z powrotem. Posłałem gajowego, by sprawdził, o ile to prawda, przypuszczałem, że kmiotek dostał żbika, czy kunę i teraz kręci. Gajowy długo badał tropy, a była tam cała ich mięszanina — i psów i kotów większych i mniejszych, jedne wiodły pod las, inne do sąsiednich domów, lecz ni żbika ni kuny tu nie było; ostatecznie już poszczególne dalsze tropy zbadano i tropioną zwierzynę wynajdywano zdrową w swych domowych schroniskach, pozostawał jeszcze jeden trop dużych rozmiarów do sprawdzenia — a ten wiódł od podkopu stodoły, gdzie była nieszczęsna skrzynkołapka — zygzakiem pod oborę do budy w obejściu wspomnianego gospodarza. I tu znaleziono dużego, starego wilczura nieżywego; był to właśnie wierny stróż tegoż kmiotka, który trutkę na „żbika" założył. Okazało się, że ten wilczur co noc się spuszczał z łańcucha i zachodził na wonną słoninę do stodoły, a że się nie złapał, nic dziwnego, bo nie mógł się poprostu zmieścić w małej łapce na kuny, z której — po spożyciu słoniny, z łatwością się wycofywał, pozwalając łapce zatrzasnąć się. Można sobie wyobrazić, jak mocno zawiedzionym był kmiotek, który zamiast „drogocennego żbika", własnego psa otruł. (C. d. n.)

Kniejowiec



FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z ang. A. M.)

(Ciąg dalszy)

Trzeba jednak przyznać, że nadzwyczaj pouczającem zajęciem dla myśliwego polującego na grubego zwierza, jest chwila zdejmowania skóry i ćwiartowania mięsa przez Lapończyków. Praca ta wykonywa się z nadzwyczajnym pośpiechem i nigdy się nie zdarza, aby najmniejsza choćby cząsteczka wnętrzności lub kropla krwi utraconą była. Z początku odbywa się kastracja (w sposób dość przykry), a potem odcinanie łopat. Renifery tu są nadzwyczaj wielkiej budowy i ogromnie silne, tak, że ledwo trzech barczystych Lapończyków po złapaniu sztuki na lasso — z trudem zwalić ją mogą.

Następnej nocy wyprawił się Nils na wycieczkę, nad jezioro Andor; wrócił dopiero nad ranem z pełnym dużym koszykiem tłustych, okazałych pstrągów! Śliczne te ryby, jak już wspomnieliśmy, dochodzą w jeziorze Andor do wspaniałych rozmiarów, a Nils opowiadał nam, że p. Prenthun, powszechnie znany myśliwy i rybak, naczelnik leśnego wydziału, złowił kilka olbrzymich pstrągów w tem jeziorze i wnet umknął z niemi.

Potem Nils poszedł do dużej, głównej doliny, aby tam nająć ludzi z końmi dla zabrania mięsa łosiowego i powróciwszy, powiedział nam przykrą nowinę, a mianowicie, że p. Schultz, który podobno zabił pięknego byka, bardzo został poturbowany przez kłusowników, którzy chcieli dowieść, że oni właściwie zabili tego byka w lesie Luru. Takie przykre wypadki trafiają się tu od czasu do czasu, szczególnie w lasach będących w pobliżu zamieszkałych dolin.

Miałem zpoczątku zamiar odwiedzić p. Schultza (bo mi go było żal serdecznie) w jego mieszkaniu w Mossaeter, ale później zdecydowałem raz jeszcze popróbować szczęścia i poszukać ładnego byka w Graesaamoen.

Całą noc ulewny deszcz padał, a rano, gdy wyruszyłem z Lorentzem, mgła, jak ciężki szary całun, okrywała góry i lasy. Miałem wielką ochotę przedostać się na drugą stronę rzeki Luru i zapolować tam w zachodniej stronie, około Mossaeter, ale ponieważ przedtem trzeba nam było przejść Svartsjensbrook (strumień Svartkjens), który wezbrał silnie, a most na nim składał się tylko z 2 kołyszących się śliskich pni drewnianych, niemożliwych dla psa do przebycia, — zmienić musieliśmy nasze plany i w ostatniej chwili zdecydowaliśmy się na marsz w stronę jeziora Andor, do rozległej tam płaszczyzny.

Deszcz nie ustawał padać; byliśmy do szpiku kości przemoczeni, na co jednak prawdziwy myśliwy nigdy zważać nie powinien, a tem mniej skarżyć się, chociaż, przyznać trzeba, że moknąć jest bardzo niemiłą rzeczą. Długi czas kierunek wiatru nie zmieniał się, a w końcu dąć zaczął z południa — bardzo korzystnie dla nas.

„Flink" kilkakrotnie rwał się na smyczy, co nas zaraz ożywiało i wyciągało z markotnego nastroju, w który łatwo się wpada przy tak posępnej pogodzie. Ale niestety, za każdym razem okazywało się, że nasze nadzieje były płonne, bo zamiast tropów łosi, były to wciąż tropy przeklętych swojskich reniferów, co zaczynało mnie o chorobę przyprawiać.

Nareszcie, dla odmiany może, deszcz przestał padać i pomału wyjaśniło się. Wiatr zwrócił się od północy i poszliśmy w stronę góry Andor; mając jezioro po lewem ręku. Znowu „Flink" rwał się na smyczy naprzód i w tył, ciągnąc nas na szczyt góry, w gęsty stary las.

Tu, na stromej pochyłości góry roztoczyła się przed nami nieogarnięta wzrokiem, daleka, rozległa przestrzeń; wziąłem więc binokle i wszędzie rozglądać się zacząłem. Po chwilce spostrzegłem naprzeciwko, w oddali czarny przedmiot, który zdawał się poruszać. Już po chwili rozpoznawałem łoszę ze swem małem, a nieco dalej, w niewielkiej brzozowej kępie, na pagórku, ujrzałem małego byka uderzającego łopatami w gałęzie drzew. Lorents dowodził mi, że to jest ten sam łoś, któregośmy spotkali pierwszego dnia w czasie wycieczki naszej do Graesaamoen, a ponieważ duże byki były tu rzadkością, postanowiłem go podchodzić.

Nigdzie nie miałem tu odpowiedniego ukrycia, zmuszony więc byłem obejść tę górę pozostawiając tu Lorentza z psem. Wiatr dął niekorzystnie dla mnie, wciąż w tym samym kierunku, jedno mi więc pozostawało tylko — być ciągle osłoniętym! Ale co mię wprawiało najwięcej w rozpacz, to to, że się łatwo obecność moja zdradzić mogła, gdyż każdy krok mój odbijał się głośnem echem chlapania w błotnistej ziemi moich ciężkich „komager".

W końcu dostałem się na mały suchy wał, — zauważyłem go jeszcze na dole — lecz z tego miejsca zobaczyłem tylko głowę łoszy, więc zawróciwszy ostrożnie, poszedłem dalej wzdłuż podnóża tego wału. Znowu zobaczyłem łoszę, ale i mnie też ona spostrzegła — widocznie zaniepokoiła się, a może posłyszała moje kroki, dość, że skoczyła do byka i wnet wszystko troje zerwało się z kępy brzozowej i pędem zbiegło na dół; stało się to tak raptownie i niespodzianie, że nie miałem nawet czasu zorjentować się i wziąść byka na cel.

Gdy się ten ostatni oddalił, puściłem jednak za nim jeden z tak zwanych „ścigających" strzałów, który jeśli się uda, to sprawia zawsze niewypowiedziane wewnętrzne zadowolenie, nawet choćby łup nie przedstawiał wielkiej wartości.

Strzelałem z miejsca znajdującego się wyżej od tego, w którem znajdował się umykający łoś i kula ze starego mego „Savage" trafiła go między łopatki, grzęznąc głęboko w ciele i momentalnie śmierć powodując. Wielkie to cielsko w całym jeszcze impecie przerwanego biegu potoczyło się w dół na kilka yardów.

Ponieważ byliśmy w pobliżu Graesaamoen, Lorentz poszedł po Nils'a, aby wspólnie zająć się ćwiartowaniem łosia, a ja tymczasem zagotowałem herbatę i zabrałem się do obielenia zwierza. Po kilku godzinach przyszli obaj i wzięli się sprawnie do dalszej roboty.

Dnia 27 opuściliśmy na dobre Graesaamoen. Rano śnieg gęsty padać zaczął, więc zwróciłem się do stojącej we drzwiach Laponki, obiecując jej dobry łyk spirytusu, jeśli swemi zażegnaniami odmieni nam tę niepogodę. Lapończycy i Finowie uważani są ogólnie za czarodziei. Tym razem jednak rezultat tych czarów bardzo nas zawiódł, bo tylko w tem zaszła różnica, że zamiast śniegu strumienie rzęsistego deszczu się polały! Wobec tego i ze spirytusu było fiasco.

Trzymaliśmy się teraz południowych brzegów Luru i znaleźliśmy się w gęstym starym lesie, gdzie natrafiliśmy na dwie leśniczówki. Ugoszczono nas tu zmokniętych porządnie dobrą, gorącą kawą.

Od tego miejsca dolina się znacznie zwęża i tworzy spadziste skłony po obu stronach pokryte sosnami, co wielce utrudnia polowanie z psem na smyczy.

Około trzeciej godziny po południu doszliśmy do Mossaeter, i tu zwrócił uwagę naszą olbrzymi kocioł z gotującą się na piecu zupą z łosia. Oh! ta zupa łosiowa Schultza! Nigdy jej nie zapomnę! Przyrządzona była z mostka łosia, serca, nerek i mnóstwa tłuszczu! Umarłego na nogiby z pewnością odrazu postawiła!

Schultz zabił najpierw ładnego byka o łopatach z dziewięciu pasemek, a po pewnym czasie drugiego jeszcze i łoszę. Mauser jego zaciął mu się raz w krytycznym momencie; widząc to przyjaciel jego Peter Agle, strzelił, ale tylko zranił łosia z lekka.

Opowiadał mi także Schultz, że pierwszego dnia swego polowania spotkał małe stado wilków, ale tak daleko, że strzelać nie mógł. Podobno, jak mówią tu, wilki wyrządzają wielkie spustoszenia w osadzie Snaasa, a szczególnie dają się we znaki, zagryzając obłaskawione renifery Lapończyków; z pewnością i łosie padają tu nieraz ofiarą.

Po mile spędzonych kilku dniach w Mossaeter, wyruszyłem z Lorentzem dalej na zachód wzdłuż rzeki Luru, mając zamiar dotrzeć do „seater" (letniska) Lona, a właściwie do leśniczówki tego samego typu, co Mossaeter, tylko jeszcze dalej na zachód pod lasem.

Popołudniu, gdy dochodziliśmy do tego „seater", pies nasz zaczął się gwałtownie szarpać i wkrótce znaleźliśmy świeże ślady człowieka — zapewne kłusownika. Po niejakiej chwili doleciał do naszych uszu odgłos 4-ch wystrzałów — jeden po drugim, ale ponieważ pochodziły one z przeciwnej strony rzeki Luru, ogromnie temi czasy wezbranej, niemożliwej do przebycia, nie mogliśmy zbadać tego incydentu z wielkim naszym żalem!

Dalej, obok „letniska", przy małej chatynce, spotkaliśmy kilku ludzi kopiących rowy; najęci oni byli do tej roboty przez Wydział leśny.

Następny dzień był już ostatnim dniem naszych łowów, a że pogoda przedstawiała się pod psem, bo to śnieg, to deszcz padał, lub deszcz razem ze śniegiem — wielkie wpierw moje nadzieje stały się zupełnie nikłe, gdy wyruszyłem dziś jeszcze z Lorentzem. Jednakże, mimo wszystko, wyszukaliśmy jeszcze byka i zabiłem go.

Tego samego wieczora na pożegnanie zaprosiłem sąsiadów naszych na obiad, mając zamiar ugościć ich zupą z łosia, taką samą, jaką jadłem u Schultza. Część najprzedniejszą mięsa chciałem jednak zostawić sobie na pieczeń; jakież więc było rozczarowanie moje, gdy się dowiedziałem, że użyto na tę zupę najlepszych części mięsa z obydwóch moich łosi!

Na drugi dzień zebraliśmy wszystkie nasze ubiory, sprzęty i zbroje myśliwskie i korzystając choć z chwilowej pogody, po pożegnaniu naszych przyjaciół, puściliśmy się w góry, a potem do fermy Kjenneraasen na główną drogę do Grong.

Gdyśmy dochodzili do starego lasu, zerwał się chłodny wiatr i znowu gęsty śnieg sypać zaczął.

Przeprawiając się następnie poza duże bagno, spostrzegliśmy na wodzie z rozwartemi szeroko skrzydłami olbrzymiego głuszca, którego tu burza zagnała; siadł on potem zmęczony i wystraszony na suchym sęku sosny, sterczącym pośrodku bagna; wicher tak był silny i porywisty, że szarpał tem drzewem samotnem na wszystkie strony. Kilka razy naprowadzić chciałem muszkę mej strzelby na tego dużego ptaka, ale zawsze daremnie. Po sześciu takich próbach, wystrzeliłem na koniec, ale niefortunnie, bo ptak odleciał.

Naszym myśliwskim przygodom nie było jeszcze końca, bo gdyśmy się zbliżali do kępki brzóz, przy ujściu kanału do tego moczaru, ukazał się nam potężny łoś-byk z szerokiemi i masywnemi łopatami (porachowałem 12 pasemek). Spokojnie na nas spojrzał, z zadowoleniem, majestatycznie pomału zawrócił, dając nam jakby do zrozumienia, że się nas wcale teraz już nie boi, bo ten właśnie dzień był już poza okresem łowów.

(C. d. n.)



Mozaika Dzicza

KAZIMIERZ MARMOROSS

Jakto Burek dzika „łapał"

Przed laty trzydziestoma polowałem raz z nagonką w Karowie w towarzystwie moich młodych towarzyszy, a to z pupilem moim hr. Juljuszem Dzieduszyckim (a obecnie posłem naszym w Kairze) i synem moim Zdzisławem. Syn mój postrzelił sporego wycinka, który po strzale przebił się przez nagonkę i obległ w tym samym miocie w gęstej świerczynie. Po sprawdzeniu, że tam się rzeczywiście znajduje, kazałem powtórnie ten miot przepędzić. Wycinek raniony dotkliwie nie tylko, że nie dał się wypędzić, ale zaatakował leśnych i pogonkę i zaszył się w gąszczu w tym samym miocie.

Widać, że trudno będzie bez pomocy psów dostać się do niego a pogonka już nie miała ochoty drugi raz z nim się spotkać a po własne psy dzikarze za daleko było do domu posyłać, — zgodziłem się na propozycję podaną mi przez moich leśnych, aby posłać do niedalekiego przysiółka Sataszów po gospodarza wiejskiego, który miał mieć bardzo ciętego psa łańcuchowego, atakującego dobrze dziki.

Po półgodzinnem wyczekiwaniu, zjawia się wieśniak, prowadząc swojego pieska na sznurku i oświadcza, że Burek jego, zaraz tego dzika „złapie". — Rozstawiam więc moich młodych towarzyszy po obu stronach mojego stanowiska, by być od nich blisko na każdy wypadek, bo obawiałem się, by którego z nich wycinek nie zaatakował.

Wieśniaka z pieskiem poprowadzili leśni na trop wycinka z przeciwnej strony.

Za małą chwilkę słyszę, jak pies zaczyna atakować z miejsca i głos wieśniaka, który się do psa zbliża i zachęca go do energiczniejszej akcji. Nagle jednak dochodzi nas przeraźliwy krzyk chłopa, następnie nawoływania moich leśnych, następuje cisza...

Biegnę w tym kierunku, by przekonać się, co się stało i widzę leśnych moich prowadzących chłopa na rzemyku, zdyszanego, wyrywającego się im ze wszelkich sił. Gdy mnie zobaczył, oświadczył, że więcej za nic w świecie dzika „łapać" nie będzie, bo takiego mu pietra napędził, że dał nogom znać i razem z Burkiem swoim zmykał, co mu sił starczyło.

Leśni moi dlatego tak energicznie do chłopa się zabrali, bo rozchodziło się im o psa, który bez swojego pana nie dałby się nakłonić do ponownej akcji.

Po długich następnie zabiegach, dał się wycinek wycisnąć na linję ze swojej kryjówki i został dobity przez mojego strzelca Onyśka.

Z KARPAT

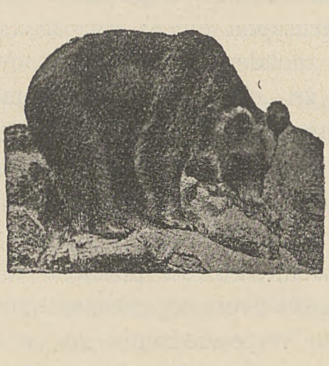
Tegoroczne łowy w górach naszych podczas rykowiska zaznaczyły się „gęstem" spotkaniem z niedźwiedziami. Padło, o ile nam wiadomo, jedenaście przedstawicieli tego królewskiego rodu. W Sołowninie mizuńskiej ubili po niedźwiedziu Jerzy hr. Potocki i hr. Sechenyi, w Perehińsku ubił dwa w dublecie Włodz. Barański, w Suchodole grubego Józef Jabłonowski, w Tatarowie jednego Eustachy Barański, w Jasieniu jednego Jan hr. Tyszkiewicz, w Hrepełowie grubego Kazimierz Marmorosz, w Wełdzirzu padł miś z ręki niewieściej — kuzynki właściciela Hofmanna. Dwa wreszcie, bardzo jeszcze niestety młode, niedźwiedzie padły na Huculszczyźnie — ubite przez niewiadomych nam myśliwych.

Jeleni padło tej jesieni w Karpatach wschodnich, pobieżnie licząc, conajmniej 50. Skole dało 16 wieńców, z których dwa 18-taki zdobyte przez młodego właściciela, br. Ryszarda Groedla są kapitalne. Najlepszym jednak jest wieniec zdobyty przez Stan. hr. Reya w Komańczy, ważący bez mała 10 kg. Pozatem kapitalne wieńce zdobyli Adam Kapliński w Zielenicy, Hieronim ks. Radziwiłł i Ludwik hr. Mycielski w Jasieniu.

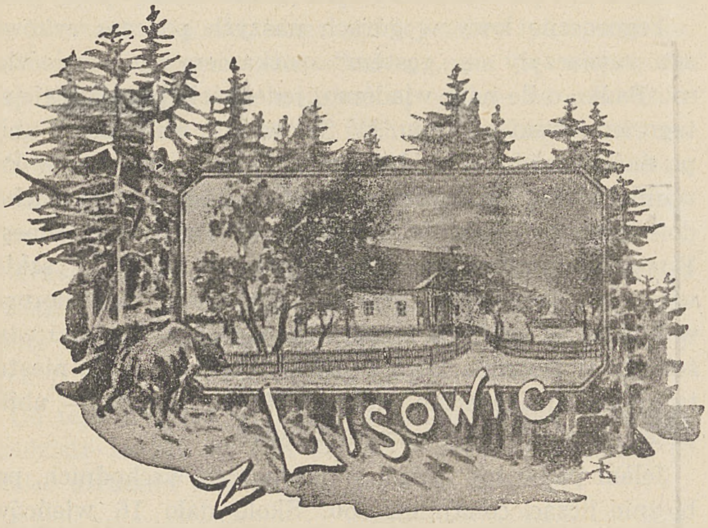
Jelenie tej jesieni porykiwać poczęły już 7 września, właściwe jednak rykowisko poczęło się dopiero w ostatnich dniach tegoż miesiąca. W niektórych rewirach wzrosła niepomiernie liczba łań, tak że przez wzgląd na uregulowanie stosunku płci i zapobieżenie degeneracji, odstrzały tychże okazują się konieczne.

Wspaniały ten rezultat łowów tegorocznych w Karpatach jest też dowodem, że stan szlachetnego zwierza znacznie z roku na rok się tam szybko podnosi. W Skolem ryczało w r. 1921 97 byków, w roku bieżącym, zaś niespełna 300. W latach przedwojennych ryczało tam rok rocznie około 500 byków. Zbliżamy się więc szybko do normalnego stanu. Możemy oznaczyć liczbę w tym roku ryczących jeleni w wsch. Karpatach aproksymatywnie na 2000 bez obawy przesady. Odstrzał więc 50 sztuk czyli 2,5 proc. ogólnego stanu przedstawia się nader skromnie. Co do liczby ubitych niedźwiedzi, to uważamy ją w stosunku do zwierzostanu zanadto wielką. Stan niedźwiedzi w Karpatach jest jeszcze w stadjum rozwoju i należałoby więcej oszczędnie go traktować.

A. M.



KORESPONDENCJE



Polowanie jesienne w Lisowicach w dniach 15, 16, 17, 18, 20 21 i 22 października wynagrodziło w zupełności wiernych swej Kniei i swemu Zakonowi Lisowczyków za cierpliwość czasu niepowodzeń lat ubiegłych.

Przy cudnej pogodzie i w pełnych przez czas cały blaskach jesiennego słońca, co nam góry i lasy w baśni przeistaczało krainę, ubiliśmy: dzików 21, rogaczy 6, lisów 16, jarząbków 5, słonek 6, gołębiarzy 1, sów uralskich 2. Podkreślić należy fakt 21 dzików na czarnej stopie w sześciu dniach, gdyż siódmego dnia wyłącznie słonek szukaliśmy, przyczem ruszyliśmy dzików około 80 — podkreślić należy wzmagający się znacznie stan sarn, który nadzieje nam daje, że już nie 6, ale jak za dawnych dobrych lat niebawem 30 rogaczy padać będzie i ukazujące się już nam rudle jeleni, przyszłych rykowisk zapowiedź. Słonek żałujemy nieobecności, lecz to nie w ręku już ludzkiem, pory to ciągów kwestja i szlaków przez nie obranych.

C. C. G.

Koropiec, 22 października 1930

W sprawie głosu słonek

Czytając przypisek, którym Szanowna Redakcja zaopatrzyła artykuł dra H. Malsburga, w numerze 17-tym „Łowca", przypisek tej treści, że „słonki chrapią i świszczą bez względu na płeć, żałowałem, że Redakcja nie dodała uzasadnienia tego orzeczenia. Sprawa bowiem w przypisku poruszona nieraz mię zajmowała. Otóż — o ile stwierdzić zdołałem — dotychczasowe badania wykazały właśnie, że „chrapanie" jest samców tylko właściwością, zgodnie zresztą z objawem u tylu ptaków spotykanym, że w porze godowej samiec inaczej się odzywa aniżeli samica będąca wogóle bardziej powściągliwą i milczącą.

Wprawdzie wielu autorów pisząc o słonce wcale nad tym szczegółem jej życia się nie zastanawia lub nie posiada danych do wypowiedzenia się, a znany myśliwy niemiecki Dietrich aus dem Winckell, piszący lat temu sto, wspomina, że chrapią samce i samice, ale późniejszy a najdokładniejszy badacz słonki Juljusz Hoffmann w swej bardzo obszernej i wyczerpującej monografji ptakowi temu poświęconej, monografji uznanej ogólnie za niezrównaną, twierdzi z całą stanowczością, że głos chrapiący wydają tylko samce; oczywiście twierdzi to na podstawie zbadania anatomicznego setek słonek. — Takie same próby czynione później przez innych nie zaprzeczyły słuszności tego orzeczenia, a dzieło Brehma stając na tem samem stanowisku, użyczyło mu swej powagi.

Stefan Badeni

Notatkę moją, o której Sz. korespondent wspomina, oparłem, przyznaję, na mych własnych spostrzeżeniach. Będąc na wielu i to nieraz bardzo obfitych ciągach słonek, stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że wszystkie widziane słonki w o l n o l e c ą c e chrapią i świszczą. Słonki lecące daleko słyszymy tylko chrapiące, gdyż świst ich z większej odległości do uszu naszych nie dochodzi. Czyż więc wszystkie słonki ciągnące byłyby samczykami, i gdzież podczas ciągu przebywają samiczki? Słonki natomiast szybko lecące, goniące jedna drugą wydają zwykle tylko głos świszczący, ale czy obie świszczą, czy tylko goniąca lub goniona, rozpoznać słuchem niepodobna. Wodzicki w swej „Słonce" (Lwów, Nakładem M. T. Ł. 1929, str. 36) stwierdza, że nie dociekł stanowczo czy samce świszczą i chrapią a samiczki tylko świszczą. Sprawa ta do niedawna jeszcze stanowczo rozstrzygniętą nie była. Przyznaję, że najnowsza literatura naukowa o słonce i autor, o którym Sz. Korespondent przy końcu wspomina, jest mi nieznaną.

Jeżeli więc sprawa jest już rozstrzygniętą za pomocą sekcji, nie upieram się przy mojem zdaniu i wdzięcznym tylko być muszę za jej wyświetlenie. Kwestję więc głosu wydawanego przez słonkę z uwzględnieniem płci należy postawić w ten sposób, że samczyk chrapie i świszczy, samiczka zaś tylko świszcze. — A może jeszcze ktoś z naszych ornitologów-myśliwych zechce głos zabrać w powyższej sprawie. O słonce, tym tajemniczym, a tak przez nas cenionym myśliwskim ptaku tak w Polsce mało się mówi i pisze.

A. M.

Z Ziemi Kieleckiej

W lutym r. b. pisałem słów parę o łowach na grubego zwierza na Wołyniu. Dziś zmieniam zupełnie temat i pomimo, że ubiłem kapitalnego szesnastaka nizinnego w tem Eldorado myśliwskiem, jakiem jest ziemia Kielecka, zamierzam pisać o drobnej zwierzynie. Może niesłusznie. W Krzepinie u mego szwagra Stefana Siemieńskiego jest istny raj dla myśliwego. Dziki, wprost bajecznie na czarnej stopie otropione są prawie, że stałe. Jeleni w tym roku ubito 6 podczas rykowiska i to musowo z powodu znacznych przez nie zrządzonych szkód.

Gospodarz zabił 14-taka, który nawet w górach przedstawiać może nie złą zdobycz.

Zaczynające się obecnie ranne ciągi cietrzewie, wśród oświetlenia wschodzącego słońca urokiem swoim nęcą. Królików, kuropatw tysiące, ciąg słonek z końcem października w pełni. Oblane kszyki, kaczki na błotkach, słowem co dusza myśliwego zapragnie, a w lesie doskonały podjazd na rogacze. Smutno jedynie nastraja okolica. Piaszczyste pustki, gdzieniegdzie jałowcem przerzucone, średnich porostów sośnina przeplatana brzozą, pełne korzeni drogi, przygnębiający nastrój w duszy wywołują. Lecz gdy wyborowa straż leśna przy dziennym raporcie melduje, pewnikiem otropione dziki, postój grubego jelenia, przesmyk kapitalnego rogacza, lub kilkadziesiąt kogutów wyciągających na pola, smętek znika, a dusza myśliwego w pełni się raduje.

Nie wiem, czy moja uwaga jest słuszną, ale zauważyłem w Styrji, w Tyrolu, wszędzie tam, gdzie sosna przeważa i również w Kieleckiem, że ludność poza figurami, krzyżami umieszcza „obraziki" (ein Masterl) na pojedyńczych starych sosnach, lub nielicznych dębach. Obrazek poczerniały, prawie że niewidoczna święta figura w ramce chronionej od deszczu daszkiem z deszczułki. Nigdzie ich nie widziałem w innych stronach, choć jak u mnie niemal na każdem podwórzu jest krzyż, figura lub kapliczka, co roku świeżem zielem i papierowemi kwiatkami zdobione. Ale to nie „obrazik".

Dzięki przemiłej gościnnej łaskawości krzepińskich sąsiadów, danem mi było uczestniczyć na dwóch polowaniach rekordowych i to w Czaryżu u Państwa Tadeuszostwa Siemieńskich, na którem to polowaniu w 9 strzelb ubito 11 października 464 kuropatw, 50 królików, 5 kogutów cietrzewich i 1 lisa, razem sztuk 522. Do bażantów nie strzelano. Uczestnikami byli: Wacław i Hieronim Siemieńscy, Paweł Potocki i Władysław z uroczą młodą żoną, Tadeusz Halpert z żoną, która miała ze sobą sukę przez siebie tresowaną, za co Jej chapeau bas, Zygmunt Wielopolski z przemiłą małżonką, Andrzej Deskur, Zbigniew i Adam Wielowiejscy, Konrad Niemojowski, Władysław Garapich. — Właściciel na niezmordowanej przepysznej klaczy pełnej krwi, kierował łowami, tworząc sylwetkę wyciętą z angielskiego obrazka.

Kilka drobnych spostrzeżeń: między hr. Pawłem Potockim a p. Konradem Niemojowskim przeciąga przerzedzone stado z siedmiu kuropatw, a po ich ośmiu strzałach ani jedna nie minęła linji strzelb. Nazwisk nie wymienię, by się nie wzbili w dumę, lecz widziałem kwadruplety hollandowskie i u innych myśliwych.

Drugi rekord stworzył fachowy hodowca i mimo młodego wieku wytrawny myśliwy, Hieronim Siemieński w Silnicy Wlkiej. Nota bene przed głównem polowaniem 18 października polowaliśmy dwa dni w 3 strzelby na próbę, ubijając 102 kuropatwy, 67 królików, 1 bażanta, a po głównem polowaniu również w 3 strzelby ubiliśmy w 2 dniach 301 królików, 8 słonek, 12 kuropatw, 2 bażanty, 1 łasicę. (Cietrzewie się wykpiły).

Ale wracam do rekordu z dnia 18 października. Cyfry same za siebie poświadczą.

	Królik	Bażant	Kuropatwa		Razem sztuk
Andrzej hr. Morstin . . .	199	—	12		211
Paweł hr. Potocki	194	1	15	1 kszyk	211
Konrad Niemojowski . . .	187	5	6		198
Tadeusz Halpert	171	3	19		193
Władysław hr. Potocki . .	170	1	8		179
Stanisław hr. Potocki . .	165	1	2	1 łaska	169
Hieronim ks. Lubomirski .	103	1	13		117
Władysław Garapich . . .	92	1	3		96
Grzegorz Lipczyński . . .	52	—	—		52
Hieronim Siemieński . . .	62	3	3		68
Razem .	1395	16	81	2	1494
Doniesiono	7	—	—		1501

Przygotowawcza praca gospodarza, który nolens volens uzupełniał dorywczo stanowisko brakującego gościa, była widoczna na każdym kroku. Stanowiska oznaczone i na każdym paliku uwidoczniony kierunek posuwania się do następnego miotu, jamy królicze zatkane, lub kolorowemi papierkami zabezpieczone, straż funkcjonująca bez zarzutu, nagonka gwarliwa, zaopatrzona drewnianemi klaperkami, bo królik nie zając. Nie zrobię łaciny myśliwskiej, jeśli stwierdzę, że przy pędzeniu kuropatw pod wieczór ze stad spędzanych z łanów łubinu i kartofli, widziało się naraz płachty z 200 sztuk. To też raporty, że w Silnicy jest w zwyż 100 stad kuropatw, nie są przesadne. Nota bene na ciągach cietrzewich przeleciało nademną coś około 80 sztuk, a nie chcąc spuścić cieciorki (leopoldynką zwanej wśród naszej kochanej starej drużyny) uszczknąłem ostrożnie tylko jednego. 1501 sztuka podniesiona na jednodniowem polowaniu w Silnicy Wielkiej jest, mam wrażenie, rekordem nie byle jakim. I dziwić się trzeba, że są jeszcze ludzie, którzy myślistwo uważają li tylko za sport, a nie za wydatną gałąź przemysłu krajowego. Przyjmijmy, że na takie polowania dziewięciu myśliwych musiało zakupić 18-cie Hollandów, Purdeyów, czy Stassardów 4000 ładunków, utrzymanie 9 strzelców, parę czwórek, samochodów, kierowców, furmanów, że przy tych ilościach ubitej zwierzyny, za nikłe pieniądze wiele taniego mięsa dostaje się między ludność, a tem samem pieniądz krąży. Znam trzech braci, którzy w sezonie spotrzebowują tygodniowo mniej więcej 2000 ładunków.

A teraz zacznę z innej beczki. Przy tak masowych rzeziach, które dla mnie skromnego osiedleńca południowowschodniej Małopolski tworzą 2 do 3 razy do roku nieznany urok emocji i pośpiechu, mimo wszystko nasuwa mi się myśl, że każdy myśliwy, chcąc stworzyć swój rekord i zdobyć królestwo dnia myśliwskiego, robi się zachłannym i, może powiedzmy, odrobinkę kleptomaniakiem.

Fakt. — Na jednem stanowisku ubija bardzo wytrawny myśliwy, wyjątkowo dobry strzelec 12 królików i 3 kuropatwy. Poszukując ze swym strzelcem daleko ubite 2 króliki i kuropatwy, powierza damie, która go zaszczyciła zawadą na stanowisku, pieczę nad pozbieraniem reszty ubitych sztuk. Biedna niewiasta, walczy jak lew, by ochronić nagromadzone na stanowisku, a nie zużyte ładunki przed szturmem naganiaczy, którzy zasadniczo, miast zbierać ubitą zwierzynę, walczą na pięści o wystrzelone łuski, i po tej zwycięskiej obronie poszukuje zdobyczy swego myśliwego. Rezultat tych poszukiwań były 2 króliki, gdyż strzelcy sąsiadów zeskamotowali li tylko 8 królików i 2 kuropatwy, wcielając je do rozkładu swoich panów.

Ale bo też trzeba wiedzieć, jak się taka sprawa odbywa. Każdy myśliwy dostaje przed polowaniem kartkę z indywidualnie wybranemi stanowiskami na cały dzień i ołóweczek do notowania. Po miocie oddaje zwierzynę zbierającemu strażnikowi, który sobie notuje zebraną na stanowiskach zwierzynę i zdaje raport, — np. miot 26 dał 154 sztuki. — Jaśnie pan X pyta się swego uliberowanego strzelca: „jakie mamy stanowisko?“ — „4-te“. A po miocie: „ile mamy sztuk?“, strzelec odpowiada: „iści 7“ i przechodzi się do porządku dziennego. Przy śniadaniu, lub wieczorem, już sam gość myśliwy zabiera się do adycji i stwierdza niebywałą ilość ubitej zwierzyny, Bogu ducha winien, że część tejże zdobyta jest ambicją, kleptomanją, zachłannością rekordu wiernego sługi strzelca, który to ostatni za plecami swego pana kpinkami dowcipkuje między służbą, że jego pan, gdyby nie on, zamiast królem polowania, byłby może na trzeciem miejscu. Tem też tłumaczy się, że pomimo, że tamtejsza drużyna myśliwska strzela wprost fenomenalnie, stosunek wystrzelanych ładunków do ubitej zwierzyny nie zawsze jest proporcjonalny. Daleki jestem od tego, by chcieć kogoś dotknąć, bo wszyscy myśliwi z którymi miałem zaszczyt się zetknąć, są dla mnie najmilszem wspomnieniem; jestto tylko luźna uwaga, bo cóż znaczy zdobycie królestwa z łaski umiejętnie tresowanego tubylca. Po tej eskapadzie sarkastycznej, za co z miejsca przepraszam, składam cześć św. Hubertowi a gorącą i serdeczną podziękę tym wszystkim, którzy pozwolili mi zapisać kilkaset sztuk do mego dziennika myśliwskiego, po tych wspaniałych polowaniach, a przedewszystkiem gospodarzom krzepińskim.

A teraz opiszę fenomen. Urządzając I. Wystawę łowiecką we Lwowie, prosiłem wielce wytrawnego hodowcę myśliwego p. Zygmunta Glinkę z Mękarzowa, by raczył obesłać naszą wystawę swojemi rekordowemi rogaczami. Niestety nie upiększały naszych sal. Na II. Wystawie łowieckiej uzyskał tenże drugą nagrodę za rogacza 14-aka, którego znam od lat kilku.

W tym roku padły w Suchej między innemi 3 rekordowe rogacze, jeden wprost potwór, iż wierzyć się nie chce, że na prześlicznej małej główce rogacza może się zmieścić tak wielki ciężar. Kto wie, czy rekord światowy hr. Stanisława Mycielskiego tym rogaczem nie będzie pobity.*)

10-tak łopaciarz o wadze 640 gr. (przy krótko obciętej czaszce. Czaszka cała osobno dla premjowania spreparowana). Wysokość 26 cm., róże 25 cm., grubość 14 cm., rozwartość 18 cm. Rogacza tego zabił syn p. Zygmunta.

Oglądając zbiór trofeów, z jakich 100 rogaczy, ubitych przeważnie w Suchej, rzuca się w oczy dziedziczność wytwarzania parostków. Rogacze tamtejsze okazują wybitną tendencję do łopatowości rożków i do nasadzania licznej ilości kończyn, aż jak wyż wymieniłem, do 14-ka. Można prawie dokładnie badać na ścianach rodowody poszczególnych generacji. Długi czas stałem wpatrzony, przy sposobności łaskawie dla mnie urządzonej t. zw. „Kłaperce“, na bażanty, kuropatwy i króliki przed 4-ma parostkami rekordowych rogaczy, które mimo mego czynnego udziału na lwowskiej wystawie łowieckiej, kiedy miałem nieomal, każdą sztukę wystawową w ręce, niezwykłe na mnie zrobiły wrażenie.

Następna wystawa moje te skromne spostrzeżenia wyjaśnić powinna.

Myśliwym św. Huberta cześć! *W. G. S.*

Lwów w listopadzie 1930

Polskie Towarzystwo myśliwych w Złoczowie polowało w dniu 3. listopada b. r. na polach Stadni i Skwarzawy. W pięciu kotłach i w dwóch miotach polnych ubito w 20 strzelb, 104 zajęcy. Oddano strzałów 273. Rezultat zeszłoroczny na tym samym terenie 89 zajęcy.

A. S.

---

*) Pozwalamy sobie zwrócić uwagę, że rekordowy rogacz hr. St. M. nie może być przez owego rogacza pobity, choćby był słabszy, gdyż jest normalnym 6-takiem, zresztą rogacz hr. St. M. wykazuje znacznie większe rozmiary. Red.



†

ALEKSANDER GNIEWOSZ

długoletni Członek M. T. Ł., właściciel dóbr ziemskich, myśliwy i zamiłowany hodowca zwierzyny, zmarł w październiku 1930 r., w 58 roku życia, w Potoku Złotym.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI!

†

STANISŁAW LILPOP

Wiceprezes Polskiego Związku Stow. Łowiec., przewodniczący Wydziału Komitetu Wykonawczego, zmarł 5 listopapa 1930 r. w Warszawie.

Łowiectwo polskie ponosi ciężką stratę przez tą śmierć nieoczekiwaną wielkiego myśliwego i b. czynnego Współpracownika naszej Centrali.



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 27 października 1930 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, inż. A. Ebenberger, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, Dr. Fr. Piechowski, St. Pieńczykowski, A. Ulm i zastępca St. Madeyski. Nieobecność usprawiedliwili: T. Barański, C. Czarkowski-Golejewski i H. Prek.

Wydział ukonstytuował się, wybierając skarbnikiem St. Pieńczykowskiego, a sekretarzem A. Ulma, powierzając mu utrzymywanie protokołów posiedzeń Wydziału i referat spraw odznaczeń straży łowieckiej i członków Policji Państwowej, za działalność na polu ochrony łowiectwa. Referat mianowania delegatów i przyjmowania członków powierzono nadal St. Pieńczykowskiemu, a referat łowiecki M. Chrzanowskiemu. Nadto wybrano komisję dla przyszłorocznych zawodów strzeleckich w osobach: inż. A. Ebenbergera, gen. W. Marjańskiego i St. Madeyskiego, z prawem kooptowania do niej dalszych osób, ze strzelectwem obeznanych.

Przyjęto do zatwierdzającej wiadomości list, wystosowany przez wicepr. Sandera, za aprobatą Prezesa Towarzystwa, do Polskiego Związku Stow. Łow., w którym to liście oświadczono, że M. T. Ł. przyjmuje mandat zajęcia się strzelaniami myśliwskiemi, podczas mających się odbyć w r. 1931 zawodach narodowych i międzynarodowych, zastrzega się jednak, że zlecenie to rozumie tylko odnośnie do urządzeń technicznych strzelnic i do spraw mających się zarządzić i zorganizować na miejscu we Lwowie, a nie bierze na siebie zapraszania strzelców polskich i zagranicznych, ani propagandy zawodów, ani żadnych spraw mających się lub dających się załatwić w Warszawie lub z Warszawy.

Przyjęto rezygnację ustępujących delegatów z powodu ich przesiedlenia się z powiatów ich dotychczasowej działalności a to: Jakóba Jakubowicza z powiatu kołomyjskiego, inż. Stefana Reicharda z powiatu jarosławskiego i Wincentego Stafińskiego z powiatu samborskiego. Aleksandra Paparę z Batiatycz, delegata w powiecie żółkiewskim, zamianowano delegatem w powiecie kamioneckim, z powodu przydzielenia Batiatycz do tego powiatu.

Rezygnacje delegatów: Inż Kamila Jarmulskiego z Nowego Targu, Feliksa br. Konopki z Dąbrowej i Antoniego Kozika z Myślenic, odstąpiono Oddziałowi M. T. Ł. w Krakowie do dalszych zarządzeń.

W poczet członków przyjęci zostali: Ludwik Glodt z Czortkowa, Włodzimierz Mandryk z Kryłosa, powiat Halicz, Michał Martyniec ze Spasa, powiat starosamborski i Zygmunt Zajączkowski z Przeworska.

Na skutek listownej propozycji dr. Władysława Burzyńskiego stworzenia komitetu redakcyjnego „Łowca" stwierdzono, że komitet taki istnieje w osobach naczelnego redaktora A. Mniszka tudzież A. Sandera i Dr. W. Ziembickiego.

Z powodu drugiej części listu Dr. Burzyńskiego, iż się zobowiązuje, dla ożywienia „Łowca", przesłać rocznie cztery artykuły bezinteresownie, uchwalono wyrazić Dr. Burzyńskiemu gorące podziękowanie, a zarazem wezwać z tego miejsca raz jeszcze delegatów i członków Towarzystwa, by naśladowania godny przykład Dr. Burzyńskiego zechcieli sobie wziąć do serca i współpracowali z redaktorem i komitetem redakcyjnym nad ożywieniem naszego organu i utrzymaniem go w stanie aktualności i na najwyższej stopie fachowości.

Na posiedzeniu Wydziału w dniu 25 sierpnia 1930 r., przyjęto w poczet członków Kazimierza Jackowskiego z Lubienia Wielkiego, powiat Gródek Jagielloński.

Z Oddziału M. T. Ł. w Krakowie

W dniu 14. października b. r. odbyło się posiedzenie Wydziału pod przewodnictwem prezesa p. gen. Stillera i przy udziale pp. wiceprez. hr. Ad. Starzeńskiego oraz członków Wydziału K. Brzezińskiego, A. Chwaliboga, M. Jagusińskiego, dr. A. Lardemera, W. Michałowskiego, S. Morawetza i B. Szarka.

W sprawie wręczenia odznaki honorowej z dyplomem Małop. Towarzystwa Łowieckiego p. Franciszkowi Ćwikowi, poster. Pow. Kom. Pol. Państw. w Krakowie, za sumienną jego i dzielną służbę na polu ochrony łowiectwa i tępienia kłusownictwa, oświadczył p. prez. Stiller, że porozumie się w tej sprawie z Powiat. Komendą Pol. oraz z seniorem delegatów powiatu krakowskiego p. hr. Ant. Kaz. Wodzickiem. Termin wręczenia odznaki oznaczony został na dzień 10 listopada b. r.

Nadesłany Oddziałowi przez delegata Centrali M. T. Ł. p. Kazimierza Wysockiego w Ostobużu własny jego projekt nowej ustawy łowieckiej wraz z motywami do niej przeczytają kolejno i podadzą możliwie najrychlej ewentualne swe uwagi członkowie Prezydjum i Wydziału Oddziału, poczem dotyczące uwagi podane zostaną do wiadomości Centrali M. T. Ł. celem zakomunikowania ich Pol. Związkowi Stow. Łow.

Na wniosek członka Wydziału p. Chwaliboga, zlecono materjał nowelizacyjny do ustawy łow. uzupełnić w swym czasie dodatkowym punktem, ażeby karty łowieckie dla straży łowieckiej, głównie w celach tępienia drapieżników, udzielane były bezpłatnie lub po zniżonej do połowy cenie, o ile wogóle konieczność posiadania takich kart wynikać będzie z obowiązujących przepisów.

Przyjęto do wiadomości, wniesione z powodu słabego stanu zdrowia, rezygnacje z mandatów delegackich pp. dr. Franciszka Kmietowicza w Krynicy na pow. Nowy Sącz, bar. Feliksa Konopki w Brniu na pow. Dąbrowa k. Tarnowa i dyr. leśn. Antoniego Kozika na pow. Myślenice.

Mianowano przedtem delegatami M. T. Ł. na pow. Dąbrowa p. Włodzimierza Hendricha, em. star. radcę wojew. w Dąbrowie, — na pow. Nowy Sącz pp. dr. Stanisława Langera w Zbyszycach i Karola Szerauca, em. zarz. las., w Krynicy-Zdroju. Dwaj ostatni oraz delegat pow. M. T. Ł. p. inż. Józef Pindelski w Wadowicach mianowani już zostali przez Pol. Zw. Stow. Łow. zarazem delegatami pow. tegoż Związku, zaś nominacja p. Włodz. Hendricha delegatem także P. Z. S. Ł. jest w toku.

Przyjęto do wiadomości z zadowoleniem fakt przychylnego załatwienia przez Województwo krakowskie znacznej w tym roku ilości podań członków Oddziału w sprawach łowieckich, opinjowanych przez krakowski Oddział M. T. Ł. bądź na żądanie samego Województwa, bądź z gotową już opinją Oddziału temuż Województwu przedłożonych.

Mamy do zanotowania ze smutkiem dalsze dwa wypadki śmierci pośród członków Oddziału M. T. Ł., a to: ś. p. Michała Baiera — Przybysz pow. Mielec i ś. p. Józefa Łasińskiego — Przyborów pow. Brzesko.

Członków zalegających z opłatą wkładek prosimy o najrychlejsze wyrównanie zaległości dla umożliwienia nam uregulowania rachunków z Centralą Tow. Tych członków, którzy przydzieleni zostali przez Centralę do Oddziału krakowskiego, prosimy ponownie przy przesyłce wkładek członkowskich posługiwać się stale czekami P .K. O. Nr. konta Oddziału 405.265 (a nie z Nr. konta Centrali 145.839).

Przy zbliżającej się zimie prosimy o pamięć w nadsyłaniu nam komunikatów z polowań zbiorowych, a także w jednaniu nowych członków dla Oddziału Tow. — PP. Delegatów po skończeniu sezonu prosimy o sprawozdania łowieckie z powiatów Województwa krakowskiego.

Kraków, dnia 20. października 1930.

Prezes	Sekretarz
Stiller em. gen. dyw.	*Morawetz*

Kącik humorystyczny

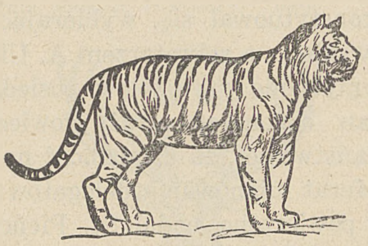
Bizantyjskie szczury

Znanemi są popisy naszej prasy na polu przyrodniczem — czytało się już o rzadkim „Ptaku brodatym", który został zdobyty tam a tam, o dziku „wylizującym" swe rany, o „Kaszalocie" zastrzelonym pod Gdynią etc. W pierwszym wypadku „Brodaty Ptak" okazał się zwykłym dropiem, a co do Cachalota, największego ssaka kuli ziemskiej i mieszkańca mórz tropikalnych, przekonywujemy się z ryciny, że jest on zwykłą foką i to do tego wielkości najwyżej zająca, co wypada z porównania jej odbitki z podobizną jej pogromcy, stojącego w bohaterskiej pozie nad jej marnemi zwłokami. — Obecnie w Il. Kurjerze Codz. ułowiłem nowy kwiatek, a mianowicie o transporcie szczurów „bizańtyńskich" do Europy via Gdynia.

Szanowny autor tej notatki wyczytał zapewne tę wiadomość w któremś z pism niemieckich, a wiadomo, że szczur piżmowy nazywa się po niemiecku Bisamratte, więc naturalnie po polsku wypaść to nie może inaczej jak szczur „bizantyński". — Łowiecki referent Il. Kurjera Codz., z którego te wszystkie przyrodnicze fenomeny zaczerpnąłem z biegiem czasu — pochodzi pewnie także z Bizancjum.

A. P.

Należy się też kącikowi temu wzmianka o afiszach myśliwskich, powywieszanych na większych stacjach kolejowych w Polsce. Afisze te, wcale zresztą udane, z napisem: Polska krajem łowów w czterech językach, przedstawiają myśliwego stojącego nad ubitym... tygrysem!!



Komunikaty

W sprawie przysłania nam obrączek z ptaków od pp. Stamirowskiego (gawrona) i Szaszkiewicza (mewa) otrzymaliśmy z Zakładu Zoologji i Entomologji Uniwersytetu poznańskiego następujące dwa pisma:

I. „Stosownie do pisma naszego z dnia 13/X. 1930 r. L. Dz. 291/30 w sprawie przesłanych nam obrączek ptaków donosimy, że dotychczas otrzymaliśmy tylko wiadomość z Versailles. Obrączkowany ptak był gawronem (Corvus f. frugilegus L.) a obrączkę otrzymał 5. XI. 28 w Rang sur Doubs, na północny wschód od Besançon, niedaleko granicy szwajcarskiej.

Załączając kwestjonarjjusz owej stacji ornitologicznej prosimy o wypełnienie go i przysłanie pod naszym adresem. Również prosimy o wiadomość, czy zabity gawron miał swoje gniazdo w Honiatynie, czy też był tam w przelocie oraz o porównanie dzioba z załączonym rysunkiem.

II. Donosimy uprzejmie, że otrzymaliśmy odpowiedź z Czechosłowackiej Stacji Ornitologicznej „Lotos" i dowiadujemy się, że pierścieniem —S 1872 została obrączkowaną mewa śmieszka (Larus r. ridibundus L.) przez P. Karola Plachetkę z Brna w miejscowości Chropyn (Morawy) w dniu 14. VI. 1930 r.

Niniejsze dane odnośnie do ptaków, których pierścienie przesłało nam Towarzystwo Łowieckie, prosimy ogłosić w czasopiśmie „Łowiec" i zarazem prosimy przesyłać nadal do naszego Zakładu pierścienie ptaków obrączkowanych".

Na fundusz ołtarza Św. Huberta złożył: Józef Jabłonowski zł. 100.

TREŚĆ NUMERU 22:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16